Wiatr fiskalny i koniec wyjątkowego stulecia według Gordona

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi pogłębioną analizę prowokacyjnej teorii ekonomicznej Roberta Gordona, który ogłasza definitywny koniec 'wyjątkowego stulecia' bezprecedensowego wzrostu gospodarczego. Autor koncentruje się na zjawisku 'wiatru fiskalnego', postrzeganego jako jeden z najpoważniejszych hamulców nowoczesnego rozwoju. Gordon w swojej argumentacji odważnie oddziela sferę produkcji od mechanizmów dystrybucji, sugerując, że państwo może nieświadomie dusić dochód rozporządzalny obywateli poprzez rosnące koszty obsługi długu oraz zobowiązań socjalnych, takich jak Social Security i Medicare. Tekst poddaje krytyce tradycyjne wskaźniki PKB, przeciwstawiając im realny dobrobyt i nadwyżkę konsumencką. Analiza ta rzuca nowe światło na przyszłość standardu życia w dobie kryzysu demograficznego. W obliczu tych zmian strukturalnych, autor stawia fundamentalne pytania o trwałość obecnego kontraktu społecznego oraz legitymizację systemu, który musi zmierzyć się z bolesnym 'ćwiczeniem z odejmowania' w nadchodzących dekadach.

This article provides an in-depth analysis of Robert Gordon's provocative economic theory, which heralds the definitive end of the "exceptional century" of unprecedented economic growth. The author focuses on the phenomenon of "fiscal tailwind," perceived as one of the most serious constraints on modern development. Gordon boldly separates production from distribution mechanisms, suggesting that the state may be unwittingly strangling citizens' disposable income through the rising costs of debt servicing and social obligations such as Social Security and Medicare. The article critiques traditional GDP indicators, contrasting them with real well-being and consumer surplus. This analysis sheds new light on the future of living standards in an era of demographic crisis. In the face of these structural changes, the author raises fundamental questions about the durability of the current social contract and the legitimacy of a system that must face a painful "exercise in subtraction" in the coming decades.

Robert Gordon, wbrew technologicznemu optymizmowi i fiskalnej ascezie, diagnozuje pęknięcie między wzrostem gospodarczym a realnym standardem życia większości społeczeństwa. Jego koncepcja "wiatrów przeciwnych" – nierówności, edukacji, demografii i obciążeń fiskalnych – demistyfikuje iluzję łatwego postępu, ukazując jak obciążenia te kumulują się, niwelując korzyści z innowacji dla przeciętnego obywatela. Gordon nie prognozuje katastrofy, lecz wzywa do refleksji nad instytucjonalnymi fundamentami nowoczesności, które w epoce spowolnionego wzrostu wymagają gruntownej przebudowy. Artykuł analizuje recepcję jego idei, zestawiając je z technooptymizmem i fiskalnym konserwatyzmem, proponując alternatywne ścieżki rozwoju. Centralną tezą jest konieczność odejścia od miar sukcesu opartych wyłącznie na PKB, w kierunku wskaźników uwzględniających realne doświadczenie większości, oraz budowy instytucji zdolnych do redystrybucji korzyści z postępu w sposób sprawiedliwy i zrównoważony, aby uniknąć instytucjonalnego trzęsienia ziemi i utraty legitymacji systemu.

SŁOWA KLUCZOWE

wiatr fiskalny | Robert Gordon | wyjątkowe stulecie | produktywność | nadwyżka konsumencka | ćwiczenie z odejmowania | Social Security | Medicare | umowa społeczna | dochód rozporządzalny | dług publiczny | standard życia | pęknięcie poznawcze | legitymizacja systemu | Druga Rewolucja Przemysłowa

Wiatr fiskalny: bariera wzrostu według Roberta Gordona

Wśród czterech przeciwnych wiatrów ten fiskalny jest najbardziej niewdzięczny, bo wciąga rozmówców w dwie narracje równie łatwe, co jałowe: jedni mówią o długu jak o grzechu, drudzy traktują go jak iluzję. Gordon odrzuca oba odruchy i czyni rzecz, która w debacie publicznej jest niemal perwersją metodologiczną: oddziela produkcję od dystrybucji. Twierdzi, że państwo, nawet jeśli nie zdusi produktywności, może skutecznie zdusić dochód rozporządzalny większości, ponieważ rosnący ciężar obsługi zobowiązań i świadczeń wymusza przesunięcie strumieni pieniężnych z portfeli gospodarstw domowych do aparatu fiskalnego. W jego ujęciu dług publiczny nie jest więc meteorologiczną metaforą „burzy”, która niszczy fabryki. Jest raczej stałym, upartym

wiatrem w twarz, który sprawia, że łódź płynie, ale pasażerowie czują, iż silnik pracuje głównie po to, by nie stanąć w miejscu, a nie po to, by zwiększyć komfort podróży.

To rozróżnienie nabiera ostrości, gdy porzuci się retorykę na rzecz surowych parametrów. Według danych FRED relacja federalnego długu publicznego do PKB w połowie 2025 roku oscylowała wokół dziewięćdziesięciu pięciu procent. Sama liczba nie mówi jeszcze, czy jest „za dużo", bo próg ten nie jest prawem natury. Mówi jednak coś znacznie ważniejszego: koszt polityki fiskalnej przestaje być tłem, a staje się głównym aktorem na scenie. W świecie niskich stóp procentowych można było udawać, że dług jest niemal bezpłatny; w świecie wyższych stóp i większej zmienności rynków obligacji nawet umiarkowany wzrost kosztu finansowania przenosi się na budżet jak ciężar, który nie ma żadnego odpowiednika w ideologicznych sloganach.

Gordon, mówiąc o fiskusie, uderza w punkt, w którym makroekonomia przechodzi w teorię państwa. Państwo nowoczesne jest bowiem instytucją obietnic, a obietnice te mają twardą strukturę zobowiązań. Zobowiązania w systemach takich jak Social Security i Medicare nie są zwykłymi „wydatkami", które można arbitralnie zmniejszyć, gdyż stanowią element społecznego kontraktu, w którym prawo i oczekiwanie spotykają się w formie roszczenia. W tym sensie fiskus jest polem walki o uznanie: o to, co społeczeństwo uznaje za należne, komu, z jakiej racji i z czyjej pracy. Jeśli więc Gordon przywołuje daty wyczerpania rezerw funduszy powierniczych, to nie po to, by straszyć kalendarzem, lecz by pokazać, że porządek świadczeń nie jest abstrakcją moralną, tylko terminową strukturą płatności. Raport Rady Powierniczej Social Security z 2025 roku wskazuje, że fundusz OASI może wypłacać pełne świadczenia do 2033 roku, po czym bieżące wpływy wystarczą na wypłatę zaledwie siedemdziesięciu siedmiu procent obiecanych kwot. Równolegle fundusz Hospital Insurance (Medicare Part A) również utrzyma pełne wypłaty do 2033 roku, a potem jego matematyka po prostu przestanie się zgadzać.

Rozdźwięk między wzrostem PKB a dochodem rozporządzalnym

Jeśli w poprzedniej części na pierwszy plan wysunął się fiskus, to nie dlatego, że Robert Gordon jest księgowym w przebraniu historyka gospodarki. Chodzi o coś znacznie głębszego: o pęknięcie między tym, co gospodarka produkuje, a tym, co większość z nas może realnie uznać za swój standard życia. To pęknięcie ma podwójną naturę. Jest poznawcze, bo kurczowo trzymamy się miar, które fałszują obraz rzeczywistości. Jest też normatywne, bo podtrzymujemy obietnice społeczne, które bez gruntownej przebudowy instytucji straciły materialne pokrycie, jakim cieszyły się w „wyjątkowym stuleciu".

PKB nie jest tu wrogiem, lecz narzędziem o precyzyjnej, choć wąskiej definicji. Jako miara przepływów rynkowych liczy wyłącznie to, co ma cenę i zostało sprzedane. To czyni go genialnym instrumentem dla rachunkowości narodowej, ale jednocześnie ślepym na kluczowe składniki dobrobytu: czas wolny, mniejszą uciążliwość pracy, lepsze zdrowie czy jakość nowych produktów. Gordon szczególnie mocno eksploatuje kwestię nadwyżki konsumenckiej, czyli tej niewidzialnej korzyści z innowacji, która w momencie debiutu jest dla statystyk zerem, bo ani koszyk dóbr, ani deflator za nią nie nadążają. Ta krytyka ma dwa ostrza. W przeszłości PKB mógł nie doceniać skali postępu, zwłaszcza w sferze zdrowia i infrastruktury. Dziś natomiast może nas fałszywie uspokajać, bo nawet gdy rośnie, jego owoce są rozwiewane przez wiatry, które brutalnie oddzielają statystyczną średnią od losu medianowego obywatela.

W tym momencie słynne „ćwiczenie z odejmowania" przestaje być publicystycznym fajerwerkiem, a staje się metodą dekonstrukcji umowy społecznej. Gordon proponuje prosty, lecz demaskatorski zabieg: weźmy bazowe tempo wzrostu produktywności, a następnie odejmijmy od niego wpływ „wiatrów przeciwnych", traktując je jak kliny wbijane w realny wzrost konsumpcji dla 99% społeczeństwa. Katalog tych obciążeń jest zresztą szeroki – obok demografii, edukacji i nierówności pojawiają się też inne hamulce. Nie chodzi tu o spór, czy odjąć trzy, czy cztery dziesiąte punktu procentowego. Chodzi o zrozumienie, że te drobne ułamki, kumulując się przez dekady, wywołują instytucjonalne trzęsienie ziemi. Niszczą fundament zachodniej kultury gospodarczej: niewzruszone dotąd przekonanie, że następne pokolenie będzie żyło zauważalnie lepiej.

Tu właśnie logika Gordona nabiera ostrości. Szybki i szeroko dystrybuowany wzrost gospodarczy działa jak „bezprzymusowy przymus zgody". Nie trzeba wielkich narracji, by uzasadnić istnienie instytucji, skoro ich owoce widać w portfelach i rosnącej jakości życia. Problem pojawia się, gdy wzrost zwalnia i staje się udziałem nielicznych. Wtedy legitymizacja systemu, dotąd będąca cichym tłem, wysuwa się na pierwszy plan i staje się palącym problemem. Państwo i biznes muszą zacząć otwarcie uzasadniać swoje decyzje: dlaczego podatki mają taką, a nie inną strukturę? Dlaczego tak, a nie inaczej regulujemy rynek pracy czy własność danych? W świecie wiatrów przeciwnych nie wystarczy już, że system jakoś działa. Trzeba udowodnić, że działa sprawiedliwie i że jego obietnice są wiarygodne.

Najlepiej widać tę logikę w zderzeniu dwóch porządków czasowych: kalendarza dobrobytu i kalendarza zobowiązań. Ten drugi jest w USA bezlitośnie precyzyjny. Prognozy wskazują, że fundusze Social Security i Medicare wyczerpi

Social Security i Medicare: widmo niewypłacalności

Gdyby chcieć opisać współczesną recepcję myśli Roberta Gordona jednym, niegrzecznym, acz trafnym zdaniem, trzeba by rzec, że jego tezy stały się intelektualnym papierkiem lakmusowym. Barwią nie tyle dane, ile temperament badacza. W debatach akademickich i na korporacyjnych korytarzach powracają bowiem uporczywie dwa skrajne „wyznania", dla których Gordon jest tym, czym herezja dla teologa: niezbędnym przeciwnikiem, pozwalającym na nowo zdefiniować własną ortodoksję. Pierwsza religia to technosoteriologia, czyli głębokie przekonanie, że kolejna technologia ogólnego przeznaczenia – dziś niemal wyłącznie sztuczna inteligencja – w sposób niemal automatyczny odwróci spowolnienie i przywróci złote tempo „wyjątkowego stulecia". Druga to fiskalna pokuta: wiara, że źródłem wszelkiego zła jest „nadmiar państwa", a jedynym lekarstwem pozostaje dyscyplina budżetowa, rozumiana jako moralnie czysta redukcja długu i deficytu.

Gordon jest dla obu tych wyznań postacią wysoce niewygodną, odbiera im bowiem ulubiony luksus: luksus prostoty. Jego analityczna konstrukcja „wiatrów przeciwnych" działa jak precyzyjne narzędzie, które rozcina narrację o wzroście na osobne warstwy: produktywność, demografię, edukację, nierówności i finanse publiczne. Następnie zmusza do odpowiedzi na pytanie, w której z tych warstw – i dlaczego – pojawia się klin wbijany między średni wzrost gospodarczy a realny wzrost standardu życia większości. We wczesnej wersji, sformułowanej dla NBER, Gordon nazywa to wprost „ćwiczeniem z odejmowania" i traktuje jako heurystykę, która ma brutalnie uświadomić, że przyszły wzrost konsumpcji dla „dolnych 99%" Amerykanów może być dramatycznie niższy od historycznych norm. Późniejsze prace rozwijają tę intuicję, łącząc ją z tezą o jednorazowym charakterze Drugiej Rewolucji Przemysłowej i znacznie słabszym, bardziej ograniczonym zasięgu rewolucji cyfrowej.

W środowisku naukowym jego idee przyjęto więc jako pole sporu nie o to, czy problem w ogóle istnieje, lecz o to, czy Gordon ma rację co do skali i nieodwracalności spowolnienia. Widać to nawet w recenzjach sceptycznych wobec jego prognoz: ich autorzy przyznają, że pesymistyczna narracja stała się punktem wyjścia, a dyskusja dotyczy raczej poszukiwania „przestrzeni dla optymizmu" niż negacji samej diagnozy. W tym sensie Gordon wygrywa już na poziomie ustalania agendy. Zmusił całą debatę do przyjęcia jego pytań: o granice powtarzalności wielkich skoków cywilizacyjnych i o rolę czynników pozatechnologicznych w tłumieniu awansu ekonomicznego mas.

Biznes z kolei podchodzi do Gordona w sposób bardziej instrumentalny, co wcale nie znaczy, że płytszy. Traktuje jego analizę jako mapę ryzyk, które pozostają niewidoczne, dopóki nie przełożą się na twarde koszty kapitału, pracy i społecznej legitymizacji. W tej perspektywie „wiatry" to cztery kanały, którymi do otoczenia firmy napływa niestabilność. Nierówność staje się ryzykiem

polityczno-regulacyjnym, edukacja – ryzykiem kompetencyjnym, demografia – ryzykiem podaży pracy i zmiany struktury popytu, a fiskus – ryzykiem podatkowym i finansowym. To dlatego dane o przyszłych zobowiązaniach świadczeniowych w USA tak rezonują w świecie biznesu. Nie dlatego, że ktokolwiek spodziewa się „końca wypłat", lecz dlatego, że mechanizm korekty – czy to przez podatki, cięcia świadczeń, czy inflację

PKB maskuje realny regres standardu życia

Na tym etapie można już pokusić się o syntezę całego projektu. Cztery wiatry przeciwne nie są ani katastrofą, ani nieuchronnym przeznaczeniem. Są raczej precyzyjnym opisem świata, w którym skończyła się epoka darmowych obietnic i łatwego postępu. Nierówności rozrywają więź między wzrostem gospodarczym a dochodami większości. Edukacja nie nadąża za zmianami w strukturze gospodarki, stając się wąskim gardłem. Demografia brutalnie zmienia relację między liczbą pracujących a ciężarem świadczeń, a fiskus z neutralnego tła przeistacza się w główną arenę konfliktu. PKB, jako miara tego, co kupujemy, nie tylko nie potrafi uchwycić tej fundamentalnej zmiany, ale często ją wręcz zaciemnia. Dopiero analiza zdrowia i sieci infrastrukturalnych pokazuje, czym był prawdziwy postęp XX wieku: systematycznym zdejmowaniem z barków jednostki ciężaru walki o przetrwanie. A historia pracy dowodzi, że proces ten był możliwy tylko dzięki instytucjom, a nie samej technologii.

Jeżeli więc mamy „bronić" Gordona, to nie za trafność jego prognoz w każdym detalu, lecz za przywrócenie myśleniu ekonomicznemu właściwych proporcji i historycznej pamięci. Jeżeli zaś mamy go krytykować, to nie poprzez naiwne zaprzeczanie istnieniu wiatrów, lecz poprzez postawienie kluczowego pytania: czy potrafimy zbudować nowe „sieci" – instytucjonalne, zdrowotne, edukacyjne i technologiczne – które przejmą ciężar życia w XXI wieku, tak jak wodociągi i elektryczność zrobiły to w wieku XX?

W ten sposób dochodzimy do aporii nowoczesności i cnoty, jaką jest roztropne ryzyko. Jeśli cały ten wywód ma być czymś więcej niż erudycyjnym popisem, musi znaleźć swoje zwieńczenie. Nie w formie prognozy makroekonomicznej czy ideologicznego manifestu, lecz jako rekonstrukcja warunków, które muszą być spełnione, by nowoczesna cywilizacja mogła przetrwać w sytuacji, gdy jej historyczna taryfa ulgowa właśnie wygasła. Myśl Roberta J. Gordona zasługuje na obronę właśnie w tym kontekście – nie jako proroctwo o nieuchronnej stagnacji, lecz jako narzędzie do rozpoznania aporii, w jakiej znalazły się społeczeństwa Zachodu.

Aporia ta, czyli wewnętrzna sprzeczność prowadząca do bezradności, polega na tym, że nowoczesność osiągnęła punkt, w którym jej własne sukcesy stały się źródłem strukturalnych

napięć. Dłuższe życie generuje zobowiązania emerytalne i zdrowotne, które trzeba finansować w świecie powolniejszego wzrostu. Redukcja fizycznego znoju pracy przesuwa ciężar w stronę wysiłku kognitywnego i emocjonalnego, który znacznie trudniej jest instytucjonalnie amortyzować. Usieciowienie domów i infrastruktury stworzyło standard życia, którego nie da się już „podwoić" w tej samej skali, w jakiej można go było stworzyć od zera. A PKB – miara zaprojektowana do śledzenia przepływów rynkowych – nie potrafi opisać tej jakościowej zmiany, pozostając jednocześnie dominującym językiem politycznej legitymizacji.

W tej sytuacji cztery wiatry przeciwne nie są zbiorem odrębnych problemów, lecz jedną, spójną strukturą napięcia. Nierówności oddzielają wzrost od doświadczenia większości, podkopując fundament społecznego porozumienia. Edukacja, zamiast być automatycznym silnikiem awansu, staje się wąskim gardłem adaptacji. Demografia przekształca finanse publiczne w arenę konfliktu o uznanie, a nie neutralny mechanizm redystrybucji. Zadłużenie państwa przestaje być księgowym detalem, a staje się materialnym wyrazem odkładanej w nieskończoność korekty kontraktu międzypokoleniowego. Wszystkie te procesy zbiegają się w jednym punkcie: spowoln

Prawomocność korekty warunkuje sukces reform

Warto w tym miejscu sięgnąć po kategorię, której debata publiczna unika z uporem godnym lepszej sprawy, gdyż jest zbyt demaskująca: „prawomocność korekty". Każda operacja fiskalna, wymuszona przez starzejące się społeczeństwo i rosnące koszty opieki zdrowotnej, ma bowiem charakter głęboko konfliktowy. Nie istnieje żaden techniczny trik, który pozwoliłby „zamknąć lukę" bez bolesnego rozstrzygnięcia, kto poniesie ten ciężar: czy pracujący poprzez wyższe podatki, beneficjenci poprzez niższe świadczenia, przyszłe pokolenia poprzez większy dług, czy może wszyscy po trochu poprzez inflacyjne topnienie realnej wartości pieniądza. Gordon umieszcza swój „fiskalny przeciwwiatr" właśnie w tym newralgicznym punkcie, gdzie polityka przestaje być teatrem wzniosłych wartości, a staje się twardą arytmetyką uznania. Jego ujęcie jest zatem bliskie klasycznej ekonomii politycznej, gdyż pokazuje, że spowolnienie wzrostu standardu życia nie musi wynikać z braku innowacji, lecz z rosnącej ceny utrzymania całego porządku instytucjonalnego.

Recepcja naukowa tej tezy nie jest już sporem o to, czy presja fiskalna w ogóle istnieje, lecz o to, jak ją modelować i jakie scenariusze polityczne przyjąć w odpowiedzi. Długoterminowe prognozy amerykańskiego CBO od lat pokazują ten sam obraz: przy utrzymaniu obecnych trendów deficyt i dług publiczny w relacji do PKB osiągną poziomy kojarzone z epokami wojen i kataklizmów, a nie ze stabilną normalnością. Niezależnie od tego, czy ktoś akceptuje wszystkie założenia tych projekcji, ich sens jest prosty – w tle tyka mechanizm, który nie ma w sobie nic romantycznego, gdyż jest

czystą, bezduszną kumulacją. Biznes, choć rzadko mówi o tym wprost, odczytuje te dane jako ryzyko reżimowe: podatkowe, regulacyjne, inflacyjne i polityczne. Nauka widzi w nich problem trwałości kontraktu międzypokoleniowego. Gordon zaś nazywa je po imieniu: systematycznym odejmowaniem, w którym konieczne korekty zjadają przyszły wzrost dochodów.

W tym punkcie należy jednak wykonać ruch polemiczny, gdyż celem nie jest nabożny komentarz, lecz krytyczna rekonstrukcja. Najostrzejszy kontrargument wobec Gordona płynie dziś z obozu, który twierdzi, że państwo emitujące własną walutę nie może zbankrutować, a jedynym realnym ograniczeniem jego wydatków są inflacja i dostępne zasoby. Argument ten ma swoją siłę, gdyż skutecznie demistyfikuje fałszywą analogię między budżetem państwa a portfelem domowym. Ma jednak słabość, którą Gordon intuicyjnie wyczuwa: nawet jeśli ograniczenie nie jest czysto finansowe, to pozostaje polityczne i dystrybucyjne. Inflacja nie jest bowiem neutralnym zjawiskiem pogodowym; jest brutalną redystrybucją strat i zysków, transferem siły nabywczej, przetasowaniem pozycji wierzycieli i dłużników. Podobnie podatki i cięcia świadczeń nie są techniczną kalibracją systemu, lecz polem konfliktu. Można więc mieć rację, że państwo „może płacić", a jednocześnie głęboko się mylić, sądząc, że nie zapłaci za to standardem życia większości. A teza Gordona dotyczy właśnie tego standardu, a nie abstrakcyjnej wypłacalności skarbu państwa.

Techno-optymizm: złudna recepta na kryzys fiskalny

Aby nie sprowadzić analizy Gordona do eleganckiej parafrazy, trzeba ją uczciwie zderzyć z dwoma skrajnymi obozami myślowymi. Pierwszy z nich, obóz technooptymistów, głosi nadejście zbawienia przez technologię. Według tej wizji sztuczna inteligencja, jako nowa technologia ogólnego przeznaczenia, rozwiąże problem produktywności i po prostu „zdmuchnie" hamujące rozwój wiatry. Słabość tej tezy tkwi w pomieszaniu dwóch porządków: sfery możliwości produkcyjnych ze sferą dystrybucji i finansów publicznych. Nawet jeśli AI radykalnie zwiększy produktywność, nie oznacza to automatycznego wzrostu mediany dochodów. Rosnące nierówności mogą bowiem przechwycić większość zysków, demografia ograniczyć liczbę przepracowanych godzin na osobę, a państwo – zmuszone do regulowania starych zobowiązań – skonsumować lwią część przyrostu. Konstrukcja Gordona jest właśnie po to, by zamknąć tę wygodną furtkę ewakuacyjną w świat technologicznego zbawienia.

Drugi obóz, złożony z fiskalnych ascetów, diagnozuje problem inaczej: winny jest nadmiar państwa, a lekarstwem prosty powrót do dyscypliny. Ta teza myli jednak rachunek z kontraktem społecznym. Zobowiązania socjalne w starzejącym się społeczeństwie nie są przecież kaprysem polityków. To logiczna konsekwencja sukcesu nowoczesności, która wydłużając życie, stworzyła zupełnie nową

architekturę ryzyka i opieki. Kto zatem nawołuje do „oszczędności" bez zrywania umowy społecznej, musi najpierw pokazać, jak uzyska legitymację dla cięć w społeczeństwie, którego mediana dochodów od lat stoi w miejscu. W przeciwnym razie „dyscyplina" staje się jedynie eufemizmem dla otwartego konfliktu, który z czasem przenika rynek pracy, politykę, sądy, a na końcu uderza w rynek kapitałowy.

Właśnie dlatego najbardziej płodna intelektualnie okazuje się droga środka – ale nie jest to leniwy centryzm, lecz stanowisko proceduralnie rygorystyczne. Należy uznać, że wiatry są realne, ale zarazem przyjąć, że ich siła zależy od architektury instytucji. Gordon jawi się tu jako pesymista warunkowy: nie twierdzi, że stagnacja jest naszym metafizycznym przeznaczeniem. Utrzymuje jedynie, że bez fundamentalnej zmiany reguł dystrybucji, edukacji, rynku pracy i finansów publicznych, nawet największy postęp technologiczny nie przełoży się na powszechny awans. I nie jest to bynajmniej literacka figura, co potwierdzają dane o długu publicznym. Według FRED dług publiczny w USA (dług „held by the public") w drugim kwartale 2025 roku sięgnął około 95 procent PKB. Takie wartości nie wróżą natychmiastowej katastrofy, ale dowodzą, że „wiatr fiskalny" ma swój bardzo materialny odpowiednik w strukturze budżetu i rosnących kosztach obsługi zobowiązań.

Sieciowy dom: fundament rewolucji wyjątkowego stulecia

Aby uczciwie zamknąć dyskusję z Gordonem, unikając zarówno hagiografii, jak i jałowej polemiki, trzeba wrócić tam, gdzie jego argumentacja staje się żelazna empirycznie i zarazem najgłębsza filozoficznie: do opisu codzienności, który wyprzedza wszelkie statystyki. Gordon bowiem, wbrew oskarżeniom technoentuzjastów, nie jest autorem nostalgicznym. Jego spojrzenie nie pudruje przeszłości; jest bezlitosne wobec tego, jak brutalnie trudne było życie przed drugą rewolucją przemysłową. Właśnie dlatego jego teza o „wyjątkowym stuleciu" nie jest opowieścią o tempie wzrostu PKB, lecz o jakościowej przepaści między egzystencją opartą na permanentnym ryzyku biologicznym a bytem osłoniętym przez infrastrukturę, instytucje i procedury.

„Sieciowy dom" jest w tej konstrukcji czymś znacznie więcej niż historycznym przykładem. To model teoretyczny cywilizacji w jej ekonomicznym sensie: systematycznego przenoszenia ciężaru przetrwania z barków jednostki na wspólną strukturę. W domu odizolowanym każda czynność jest pracą ciała, każda awaria śmiertelnym zagrożeniem, każda choroba grą w rosyjską ruletkę. W domu usieciowionym – podłączonym do prądu, wody, kanalizacji, systemu sanitarnego i komunikacji – ogromna część tego ryzyka zostaje zneutralizowana i zepchnięta w tło. Nie dlatego, że człowiek stał

się nagle mądrzejszy czy szlachetniejszy, lecz dlatego, że infrastruktura przejęła funkcję amortyzatora wstrząsów. To właśnie Gordon nazywa prawdziwą rewolucją: zmianą struktury świata przeżywanego, a nie tylko przyrostem dóbr.

Dlaczego to tak ważne dla zrozumienia naszej teraźniejszości? Ponieważ rewolucje tego rodzaju są z definicji jednorazowe. Nie można drugi raz „znieść noszenia wody w wiadrach", tak jak nie można po raz drugi „znieść ciemności nocy" w tym samym fundamentalnym sensie, w jakim zrobiła to elektryczność. Owszem, można poprawiać jakość instalacji, efektywność energetyczną czy inteligencję sieci, ale są to już zmiany o charakterze marginalnym. Gordon trafia tu w samo sedno iluzji napędzającej współczesną debatę technologiczną: mylenie intensyfikacji z ontologiczną transformacją. Szybszy smartfon nie znosi żadnej nowej klasy uciążliwości życia; co najwyżej ją przekształca.

Ten sam argument, być może w swojej najmocniejszej formie, Gordon przenosi na zdrowie. Największy skok w długości życia i redukcji cierpienia dokonał się nie dzięki finezyjnym terapiom genowym, lecz dzięki banalnej infrastrukturze: czystej wodzie, kanalizacji, higienie i regulacjom sanitarnym. Medycyna kliniczna pojawiła się później i – co Gordon stwierdza z nieprzyjemną szczerością – dziś działa głównie w trybie zarządzania chorobami przewlekłymi, a nie eliminacji ich przyczyn. To nie jest zarzut wobec lekarzy; to opis twardej granicy biologicznej. Przedłużenie życia noworodka o trzydzieści lat przez wyeliminowanie chorób zakaźnych jest czymś jakościowo innym niż przedłużenie życia osiemdziesięciolatka o trzy lata za pomocą kosztownych terapii. PKB widzi oba procesy jako „wydatki na zdrowie"; dobrobyt postrzega je jako dwie różne klasy zdarzeń cywilizacyjnych.

I tu docieramy do jednego z najbardziej prowokacyjnych wniosków Gordona: nowoczesność stała się ofiarą własnego sukcesu. To, że żyjemy dłużej, zdrowiej i bezpieczniej, generuje strukturę kosztów, która w warunkach wolniejszego wzrostu staje się potężnym ciężarem fiskalnym. Ów ciężar nie jest dowodem porażki, lecz triumfu. Problem w tym, że nasze instytucje redystrybucji i finansowania publicznego zaprojektowano w epoce, gdy wzrost był na tyle szybki, by ten triumf amortyzować bez większych konfliktów. Gdy wzrost zwalnia, triumf biologiczny zderza się z aporią fiskalną. Gordon nie mówi: „zdrowie to błąd". Mówi: „zdrowie zmienia geometrię państwa".

Analogicznie rzecz ma się z pracą. Redukcja jej uciążliwości nie polegała tylko na skróceniu tygodnia pracy czy zakazie pracy dzieci. Była przede wszystkim przesunięciem wysiłku z przestrzeni naturalnej, pełnej chaosu, do przestrzeni kontrolowanej, opartej na procedurach. Był to proces głęboko instytucjonalny, napędzany przez prawo pracy, normy bezpieczeństwa, ubezpieczenia i standardy techniczne. I znów: był to proces jednorazowy w sensie jakościowym. Nie można drugi

raz „odkryć” klimatyzacji jako zbawienia dla pracy fizycznej w upale; można ją co najwyżej zoptymalizować.

Dlaczego to wszystko jest tak istotne dla dzisiejszego biznesu? Ponieważ w epoce „wiatrów przeciwnych” przewaga konkurencyjna nie polega już na tym, kto ma najbardziej spektakularną innowację, lecz na tym, kto potrafi wbudować ją w strukturę redukcji uciążliwości życia i pracy w sposób powszechny, a nie elitarny. To jest punkt, w którym Gordon – często wbrew własnym intencjom – staje się użyteczny nawet dla technooptymistów, pokazując im twardy warunek sukcesu. Technologia, która realnie nie zmniejsza uciążliwości życia większości albo nie zwiększa ich dochodu rozporządzalnego, pozostanie co najwyżej statystycznym fajerwerkiem.

Z tej perspektywy sztuczna inteligencja jawi się nie jako zbawca, lecz jako test cywilizacyjny. Jeżeli stanie się narzędziem dalszej koncentracji dochodu, intensyfikacji pracy kognitywnej i zacierania granic czasu wolnego, wówczas wzmocni co najmniej dwa wiatry przeciwne: nierówności i demografię. Jeżeli natomiast zostanie wbudowana w systemy zdrowia, edukacji i administracji w sposób, który realnie obniży koszt starzenia się społeczeństw, podniesie produktywność szerokich grup i zmniejszy presję fiskalną, wówczas stanie się kandydatem na technologię ogólnego przeznaczenia w sensie gordonowskim. To nie jest spór o algorytmy; to jest spór o instytucje.

Demografia: starzenie się społeczeństw drenuje budżet

Abstrakcyjny fiskus najlepiej zrozumieć przez przypowieść, gdyż ludzki umysł myśli konkretami. Wyobraźmy sobie rodzinę, w której przez pokolenia obowiązywała milcząca umowa: dzieciom będzie się żyło wyraźnie lepiej niż rodzicom. W takich warunkach opieka nad starszymi jest oczywistością, gdyż przyszłość i tak przyniesie więcej. Nagle jednak tempo poprawy jakości życia niemal zamiera, a koszty opieki rosną, gdyż seniorzy żyją dłużej i zmagają się z chorobami przewlekłymi. Wtedy to samo zobowiązanie, dawniej bezdyskusyjne, staje się zarzewiem konfliktu. Nie dlatego, że ludzie stali się gorsi, lecz dlatego, że zmieniła się geometria zasobów. Fiskus w państwie jest właśnie taką rodziną, tyle że spór nie toczy się przy stole, lecz w parlamencie, sądach, na rynkach obligacji i w ocenach agencji ratingowych. Gdy wzrost był „tłusty”, każdy mógł mieć rację; gdy jest „chudy”, rację ma ten, kto kontroluje procedury.

W tej perspektywie „wiatr fiskalny” staje się soczewką, przez którą widać inne, potężniejsze prądy. Demografia jest jego napędem, gdyż bezlitośnie zwiększa liczbę beneficjentów systemu względem liczby płatników. Nierówności działają jak katalizator, ograniczając bazę podatkową w sposób politycznie zapalny i podkopując społeczną zgodę na redystrybucję. Edukacja stanowi przeciwwagę, gdyż bez wzrostu produktywności i dochodów nie da się finansować rosnących zobowiązań bez

wywoływania otwartego konfliktu. Zdrowie jest z kolei paradoksem tego systemu: sukces w wydłużaniu życia jest moralnym triumfem cywilizacji, ale i obciążeniem fiskalnym, jeśli instytucje nie potrafią przełożyć dłuższego życia na dłuższą zdolność do pracy lub niższe koszty chorób przewlekłych.

Nadszedł czas na część profetyczną, lecz opartą na chłodnej kalkulacji – katalog rozwiązań, który nie jest listą życzeń, lecz próbą przeprojektowania fundamentów. Skoro nie wolno nam uciekać w centrową grzeczność, trzeba powiedzieć wprost: realne rozwiązania będą bolesne. Problem ma bowiem naturę bilansową, a bilanse nie uznają dobrych intencji. Jednocześnie trzeba dodać równie dobitnie: istnieje fundamentalna różnica między bólem, który restrukturyzuje system, a bólem, który go tylko okalecza.

Pierwsza ścieżka, najbardziej radykalna i w pewnym sensie najuczciwsza, to jawna renegocjacja kontraktu międzypokoleniowego. Oznacza to stopniowe podnoszenie wieku emerytalnego, ale sprzężone z realnym dostosowaniem rynku pracy do potrzeb starzejących się pracowników. Praca po sześćdziesiątce nie może być eufemizmem dla zawodowej degradacji. Musi stać się instytucjonalnie wspieraną formą aktywności, w której prawo pracy, ergonomia, ubezpieczenia i organizacja zadań tworzą warunki godności. W przeciwnym razie podnoszenie wieku emerytalnego staje się tylko przemocą liczb, a nie reformą. W takim modelu fiskus zyskuje dzięki większej bazie składkowej i krótszemu okresowi wypłat świadczeń, ale tylko wtedy, gdy państwo i biznes przestaną traktować starszych pracowników jak odpady rynku pracy.

Druga ścieżka, równie twarda, wiedzie przez przebudowę bazy podatkowej w kierunku, który biznes zwykł określać mianem „nieprzyjemnego”: opodatkowania rent, a nie wysiłku. W świecie, w którym rośnie udział dochodów z kapitału i zysków monopolistycznych, dalsze obciążanie pracy jest politycznym i społecznym samobójstwem. Uderza bowiem w tę część społeczeństwa, której dochód i tak jest erodowany przez inne wiatry. Tu właśnie polityka fiskalna spotyka się z problemem nierówności: jeśli system ma być stabilny, musi opodatkować to, co jest trwałe i skoncentrowane, a nie to, co kruche i powszechne. Ta teza ma w sobie siłę dynamitu, ale dynamit bywa potrzebny, gdy konstrukcja grozi zawaleniem.

Trzecia ścieżka dotyczy zdrowia, gdyż to właśnie tutaj drzemie największy potencjał rewolucji na miarę XXI wieku. Chodzi o strategiczne przesunięcie akcentów z medycyny reaktywnej na profilaktykę i zarządzanie chorobami przewlekłymi w sposób, który obniża krańcowe koszty starzenia się. Jeśli system zdrowia pozostanie maszyną do opłacania kosztownych, późnych interwencji, fiskus przegra. Jeśli jednak stanie się mechanizmem opóźniania niepełnosprawności i utrzymywania sprawności, zyska podwójnie: spadną koszty opieki, a wzrośnie zdolność obywateli do pracy i samodzielności. To jest pole, na którym sztuczna inteligencja może stać się technologią

przełomową, ale pod jednym warunkiem: jej wdrożenie nie może być luksusem dla wybranych, lecz musi stać się narzędziem systemowym. A to wymaga prawa, standardów i instytucji, a nie samego entuzjazmu.

Czwarta ścieżka, często przemilczana z uwagi na jej polityczną wybuchowość, to migracja jako instrument demograficzno-fiskalny. W prostym rachunku pracujący imigrant, który wchodzi na rynek, natychmiast zwiększa bazę podatkową i składkową w starzejącym się społeczeństwie. Jednak w rachunku społecznym migracja działa tylko wtedy, gdy istnieją sprawne instytucje integracyjne, a rynek pracy nie zamienia przybyszów w narzędzie dumpingu, które jedynie wzmacnia nierówności i konflikt. Migracja jako polityka fiskalna bez polityki społecznej jest jak wlewanie wody do dziurawego wiadra. Z zewnątrz wygląda na działanie, wewnątrz jest tylko eskalacją napięcia.

Restrukturyzacja kontraktu: redefinicja zobowiązań

Nadszedł czas na część profetyczną, choć twardo stąpającą po ziemi: katalog rozwiązań, które nie są listą pobożnych życzeń, lecz próbą przeprojektowania samych fundamentów systemu. Skoro nie wolno nam chować się za parawanem centrowej grzeczności, powiedzmy to wprost – realne rozwiązania będą bolesne. Problem ma bowiem naturę bilansową, a bilanse są głuche na dobre intencje. Jednocześnie trzeba z równą mocą stwierdzić, że istnieje fundamentalna różnica między bólem, który restrukturyzuje system, a bólem, który go jedynie okalecza.

Pierwsza ścieżka, najbardziej radykalna i w pewnym sensie najuczciwsza, to jawna renegocjacja kontraktu międzypokoleniowego. Oznacza to stopniowe podnoszenie wieku emerytalnego, ale sprzężone z realnym dostosowaniem rynku pracy do potrzeb seniorów, tak aby praca po sześćdziesiątce nie była eufemizmem dla zawodowej degradacji. Musi stać się instytucjonalnie wspartą formą aktywności, w której prawo pracy, ergonomia i organizacja zadań tworzą godne warunki. W przeciwnym razie podniesienie wieku emerytalnego staje się jedynie przemocą liczb, a nie reformą. W tym modelu fiskus zyskuje podwójnie – przez dłuższy okres opłacania składek i krótszy okres wypłaty świadczeń – ale tylko pod warunkiem, że państwo i biznes przestaną traktować starszych pracowników jak odpady z rynku pracy.

Druga ścieżka, równie twarda, wiedzie przez przebudowę bazy podatkowej w kierunku, który biznes określa mianem „nieprzyjemnego”: opodatkowanie rent, a nie wysiłku. W świecie, gdzie rośnie udział dochodów z kapitału i zysków monopolistycznych, dalsze obciążanie pracy jest politycznym i społecznym samobójstwem. Uderza bowiem w tę część społeczeństwa, której siła nabywcza i tak jest miażdżona przez inne wiatry. Tu polityka fiskalna spotyka się z problemem nierówności: jeśli system ma być stabilny, musi opodatkować to, co jest trwałe i skoncentrowane, a nie to, co jest

kruche i rozproszone. W tej tezie tkwi dynamit, ale dynamit bywa niezbędny, gdy cała konstrukcja grozi zawaleniem.

Trzecia ścieżka dotyczy zdrowia, bo to tutaj drzemie największy potencjał na miarę rewolucji technologicznej. Chodzi o radykalne przesunięcie akcentów z medycyny reaktywnej na profilaktykę i inteligentne zarządzanie chorobami przewlekłymi, co obniżyłoby krańcowe koszty starzenia się. Jeśli system opieki zdrowotnej pozostanie maszyną do opłacania kosztownych, późnych interwencji, fiskus zawsze będzie przegrywał. Jeśli jednak stanie się mechanizmem opóźniania niepełnosprawności i podtrzymywania sprawności, zyska podwójnie: spadną koszty leczenia, a wzrośnie zdolność obywateli do pracy i samodzielności. To właśnie tu sztuczna inteligencja mogłaby stać się technologią przełomową, ale tylko wtedy, gdy jej wdrożenie nie będzie kolejnym luksusem dla wybranych, lecz narzędziem systemowym, a to wymaga prawa, standardów i instytucji, a nie samego entuzjazmu.

Czwarta ścieżka, często przemilczana z uwagi na jej politycznie zapalny charakter, to migracja jako instrument demograficzno-fiskalny. W prostym rachunku pracujący imigrant, wchodząc na rynek, natychmiast zwiększa bazę podatkową i składkową w krytycznym momencie. Jednak w rachunku społecznym migracja działa tylko wtedy, gdy istnieją sprawne instytucje integracyjne, a rynek nie zamienia przybysza w narzędzie dumpingu płacowego, który jedynie zaognia nierówności i konflikty. Migracja jako polityka fiskalna bez polityki społecznej jest jak wlewanie wody do dziurawego wiadra: z zewnątrz wygląda na działanie, a w środku prowadzi tylko do eskalacji napięć.

Piąta ścieżka jest najbardziej proceduralna: polega na wbudowaniu w system automatycznych reguł korygujących, które ograniczają polityczną arbitralność i pokusę odkładania decyzji na później. Skoro sednem problemu jest legitymizacja bolesnych korekt, to reguły rozkładające koszty według z góry ustalonej procedury zmniejszają ryzyko gwałtownej wojny o podział strat. W praktyce może to oznaczać indeksację wieku emerytalnego względem oczekiwanej długości życia czy automatyczne dostosowanie składek do bilansu systemu. Takie mechanizmy są zimne i bezduszne, ale w świecie niskiego wzrostu zimno procedury bywa mniejszym złem niż gorączka politycznej improwizacji.

Wszystkie te drogi mają jeden wspólny mianownik: wymagają odwagi instytucjonalnej, czyli zdolności do poniesienia kosztu politycznego dzisiaj, aby uniknąć katastrofy systemowej jutro. I tu dochodzimy do najbardziej „biznesowego” wniosku z całej analizy. W epoce czterech wiatrów przewaga konkurencyjna państw i firm będzie zależeć od zdolności do przeprowadzania trudnych korekt bez utraty społecznej legitymizacji. Biznes nie lubi tego słowa, bo brzmi jak filozofia. A jednak to jego twarda rzeczywistość: bez legitymizacji nie ma stabilnych reguł, a bez stabilnych reguł rośnie koszt kapitału, koszt kontraktów i koszt ryzyka.

Opodatkowanie rent: alternatywa dla fiskalizmu pracy

Nadszedł czas na krok zarazem profetyczny i racjonalny: trzeba zaproponować rozwiązania w duchu „roztropnego ryzyka". Nie może to być lista pobożnych życzeń, lecz zbiór konkretnych architektur systemowych, z których każda ma swoją cenę i swoją logikę.

Pierwszy wariant to opcja brutalnej jawności: sformalizujmy korektę w regułach, zanim wymusi ją panika. Chodzi o wbudowanie w system automatów, które same dostosowują wysokość świadczeń, składek i wiek emerytalny do twardych danych demograficznych. Wówczas zmiana nie jest politycznym „aktem łaski" lub „zdrady", lecz przewidywalną konsekwencją uzgodnionej procedury. Politycy nie lubią tego wariantu, bo odbiera im teatralność gestu, ale właśnie dlatego jest on tak stabilizujący. Zmniejsza pole do arbitralności i hamuje pokusę „odkładania bólu", która stanowi klasyczne paliwo kryzysów fiskalnych.

Drugi wariant to dystrybucyjna rekonstrukcja: przenieśmy ciężar z opodatkowania wysiłku na opodatkowanie renty. W świecie smaganym wiatrem nierówności polityka fiskalna, która dusi dochody medianowe, działa jak podwójny huragan: najpierw wzrost je omija, a potem państwo dodatkowo je uszczupla. Jeśli zatem celem jest utrzymanie społecznej legitymizacji w epoce niskiego wzrostu, baza podatkowa musi być zaprojektowana inaczej. Musi przestać erodować fundament systemu – czyli ludzi utrzymujących go pracą – a zacząć opodatkowywać przewagi strukturalne. Mówimy tu o zyskach, które nie wynikają ze społecznie użytecznej produktywności, lecz są właśnie rentą w rozumieniu ekonomii politycznej.

Trzeci wariant jest zdrowotny – najtrudniejszy, a przy tym najbardziej „gordonowski" w swoim znaczeniu dla dobrobytu. Polega on na rewolucyjnym przesunięciu modelu ochrony zdrowia: z reaktywnego leczenia chorób na proaktywne zarządzanie sprawnością, czyli na strategicznej inwestycji w ograniczanie kosztów chorób przewlekłych. Jeśli bowiem nie obniżymy instytucjonalnego kosztu starzenia się – bo biologicznego nie przeskoczymy – to fiskus na zawsze pozostanie w roli spóźnionego płatnika, a nie świadomego projektanta systemu. I tu właśnie widać, jak Gordon nierozerwalnie łączy zdrowie z finansami publicznymi: sukces medyczny bez reformy jego finansowania to moralny triumf, który nieuchronnie kończy się budżetową aporią.

Czwarty wariant dotyczy rynku pracy: potraktujmy demografię nie jako nieuchronny los, lecz jako potężny bodziec do przebudowy. Chodzi o taką reorganizację pracy, prawa i praktyk korporacyjnych, by dłuższe życie oznaczało nie tylko dłuższe pobieranie świadczeń, ale i wydłużony okres produktywnej aktywności w warunkach godności. W tym scenariuszu biznes odgrywa rolę nie dekoracyjną, lecz absolutnie fundamentalną. Bez zmiany standardów rekrutacji, ergonomii stanowisk, elastyczności i inwestycji w kompetencje starszych pracowników każde administracyjne

podnoszenie wieku emerytalnego będzie tylko przestawianiem cyfr. Będzie przemocą formalną bez realnego skutku.

Wszystkie te warianty łączy wspólny rdzeń: każdy z nich wymaga naruszenia jakiegoś wygodnego konformizmu. I tu dochodzimy do ironii, którą warto wypowiedzieć chłodno, lecz z całym ostrzem jej logiki. Konformizm w epoce przeciwnych wiatrów to luksus, na który stać było epokę wysokiego wzrostu. Dziś, w czasach niskiego wzrostu, konformizm staje się strategią eskalacji przyszłych kosztów. Odkłada bowiem korektę na moment, w którym nie będzie już wyboru między reformą „łagodną" a „trudną", a jedynie między kore

Reguły automatycznej korekty stabilizują system

Nadszedł czas, by od racjonalnego przewidywania przejść do działania. Musimy zaproponować „instytucjonalne protezy rozumu" – czyli takie konstrukcje prawno-ekonomiczne, które nie obiecują powrotu do mitycznego złotego wieku, lecz pozwalają utrzymać cywilizowaną koordynację w świecie powolnego wzrostu. Nazywam je protezami nie dla pustego efektu retorycznego. W świecie przeciwnych wiatrów poleganie na spontanicznej racjonalności każdego z nas jest bowiem aktem pychy, postawą transcendentalnego ego: każdy ma „swoją prawdę", swoje interesy i swoje roszczenia. Wspólne tło porozumienia nie odtwarza się samo. Trzeba je metodycznie, proceduralnie wytwarzać.

Pierwsza proteza dotyczy finansów publicznych i świadczeń: automatyzacja korekty, zanim korekta stanie się kryzysem. Skoro wiemy, że po 2033 roku bieżące wpływy nie pokryją pełnych świadczeń emerytalnych w USA (OASI), logika proceduralnej racjonalności jest bezlitosna: należy z góry ustanowić mechanizm, który rozkłada ciężar dostosowania na lata i czyni go przewidywalnym, a nie gwałtownym. Może on przybierać formę indeksacji parametrów systemu względem demografii i bilansu. Klucz nie leży jednak w technicznych detalach, lecz w samej filozofii działania: konflikt przenosi się z poziomu „nagłej wojny o wszystko" na poziom „ciągłej, drobnej korekty". Biznes zyskuje przewidywalność, a obywatele – poczucie uczciwości. Dobra procedura jest jedynym narzędziem, które może utrzymać minimalny konsensus, gdy zobowiązania państwa rosną.

Druga proteza obejmuje rynek pracy i zdrowie. Chodzi o przebudowę instytucji w taki sposób, by realnie umożliwić aktywność zawodową w późniejszym wieku. Jeśli demografia jest wiatrem przeciwnym, to odpowiedzią nie może być tylko mechaniczne podnoszenie wieku emerytalnego. To przede wszystkim kwestia standardów i prawa, które czynią pracę starszych możliwą bez upokarzającej degradacji. W przeciwnym razie państwo dokona zimnej operacji na cyfrach, a społeczeństwo przeżyje ją jako akt przemocy. To tutaj opowieść Roberta Gordona o „redukcji

uciążliwości pracy" w XX wieku staje się wzorem do naśladowania. Jeśli dziś, w nowych warunkach, nie potrafimy redukować uciążliwości pracy, to choćby tabelki w Excelu wyglądały „racjonalnie", w istocie cofamy się cywilizacyjnie.

Trzecia proteza dotyczy nierówności, ale nie w ujęciu moralizatorskim, lecz w ujęciu systemowej stabilności. Skoro „wiatr nierówności" wbija klin między rosnącą średnią a stagnującą medianę dochodów, to rozwiązaniem nie jest samo piętnowanie bogatych. Chodzi o takie przeprojektowanie mechanizmów dystrybucji, które zmniejsza ryzyko przechwytywania całego wzrostu przez wąskie elity. Biznes ma w tym obiektywny, choć często psychologicznie wypierany interes: w świecie, gdzie mediana stoi w miejscu, rośnie ryzyko politycznej niestabilności i nagłych zmian regulacyjnych. To z kolei podnosi koszty transakcyjne i koszt kapitału. Innymi słowy, nawet jeśli ktoś nie ceni równości jako wartości samej w sobie, powinien ją cenić jako warunek rynkowej przewidywalności.

Czwarta proteza dotyczy miar sukcesu, a konkretnie tyranii PKB. Skoro produkt krajowy brutto nie mierzy tego, co realnie zyskujemy, a debata publiczna karmi się wskaźnikami ukrywającymi społeczne napięcia, musimy zbudować zestaw miar komplementarnych. Potrzebujemy wskaźników, które ujawniają koszty i korzyści w sferze zdrowia, czasu wolnego, jakości pracy czy dystrybucji dochodu.

Sukcesy medycyny generują koszty dla sektora finansów

Ten sam mechanizm argumentacyjny Gordon uruchamia w odniesieniu do zdrowia, co stanowi jeden z najmocniejszych fragmentów jego analizy. Największy skok w długości życia i redukcji ludzkiego cierpienia nie dokonał się bowiem za sprawą finezyjnych terapii, lecz dzięki prozaicznej infrastrukturze: czystej wodzie, kanalizacji, higienie i regulacjom sanitarnym. Medycyna kliniczna pojawiła się później i – co Gordon stwierdza z nieprzyjemną szczerością – dziś funkcjonuje głównie w trybie zarządzania chorobą przewlekłą, a nie eliminacji jej fundamentalnych przyczyn. Nie jest to zarzut wobec lekarzy; to chłodny opis biologicznej granicy. Przedłużenie życia noworodka o trzydzieści lat przez likwidację chorób zakaźnych jest czymś jakościowo innym niż przedłużenie życia osiemdziesięciolatka o trzy lata przy użyciu niezwykle kosztownych technologii. PKB widzi oba procesy jako tożsame „wydatki na zdrowie"; dobrobyt postrzega je jako dwie różne klasy zdarzeń cywilizacyjnych.

I tu właśnie docieramy do jednego z najbardziej prowokacyjnych wniosków Gordona: nowoczesność padła ofiarą własnego sukcesu. Fakt, że żyjemy dłużej, zdrowiej i bezpieczniej,

generuje strukturę kosztów, która w warunkach wolniejszego wzrostu gospodarczego staje się potężnym ciężarem fiskalnym. Ciężar ten nie jest jednak dowodem porażki, lecz paradoksalnym dowodem triumfu. Problem polega na tym, że instytucje redystrybucji i finansowania publicznego zaprojektowano w epoce, gdy wzrost był na tyle szybki, by ten triumf amortyzować bez większych konfliktów społecznych. Gdy wzrost zwalnia, triumf biologiczny zderza się z aporią fiskalną. Gordon nie twierdzi, że „zdrowie to błąd". On mówi: „zdrowie fundamentalnie zmienia geometrię państwa".

Analogiczna logika rządzi warunkami pracy. Redukcja „nieużyteczności pracy", o której pisze Gordon, nie polegała wyłącznie na skróceniu tygodnia roboczego czy eliminacji pracy dzieci. Była to przede wszystkim rewolucja polegająca na przeniesieniu pracy z nieprzewidywalnej przestrzeni naturalnej do przestrzeni kontrolowanej, z chaosu żywiołów do porządku procedury. Był to proces głęboko instytucjonalny, napędzany przez prawo pracy, normy bezpieczeństwa, systemy ubezpieczeń i standardy techniczne. I znów – był to proces jednorazowy w sensie jakościowym. Nie można po raz drugi „odkryć" klimatyzacji jako zbawienia dla robotnika fizycznego w upale; można ją co najwyżej zoptymalizować.

Dlaczego ma to kluczowe znaczenie dla biznesu dzisiaj? Ponieważ w epoce „wiatrów przeciwnych" przewaga konkurencyjna nie polega już na tym, kto zaprezentuje najbardziej spektakularną innowację. Polega na tym, kto zdoła wbudować innowację w strukturę realnej redukcji uciążliwości życia i pracy w sposób powszechny, a nie elitarny. To jest punkt, w którym Gordon – często wbrew własnym intencjom – staje się użyteczny nawet dla technooptymistów, ponieważ pokazuje im twardy warunek sukcesu. Technologia, która nie zmniejsza realnej uciążliwości życia większości albo nie zwiększa jej dochodu rozporządzalnego, na zawsze pozostanie jedynie statystycznym fajerwerkiem.

Ryzyko reżimowe determinuje strategie inwestycyjne

Sztuczna inteligencja a bariery wzrostu produktywności

Z tej perspektywy sztuczna inteligencja jawi się nie jako technologiczny zbawca, lecz jako surowy test cywilizacyjny. Jeżeli stanie się narzędziem dalszej koncentracji dochodów, intensyfikacji pracy umysłowej i ostatecznego rozmycia granic czasu wolnego, wówczas wzmocni co najmniej dwa z gordonowskich wiatrów: nierówność i demografię, napędzając wypalenie, spadek dzietności i ogólną dezorganizację życia. Jeżeli natomiast zostanie wpleciona w systemy zdrowia, edukacji i

administracji w sposób, który realnie obniży koszty starzenia się społeczeństw, podniesie produktywność szerokich grup i zmniejszy presję fiskalną, wówczas ma szansę stać się technologią ogólnego przeznaczenia. To nie jest spór o algorytmy; to jest spór o instytucje.

W tym miejscu warto postawić tezę, która jest jednocześnie prowokacyjna i trudna do odparcia: prawdziwą miarą postępu w XXI wieku nie będzie tempo innowacji, lecz zdolność społeczeństw do przekształcania tych innowacji w redukcję strukturalnych uciążliwości życia. To miara niezwykle wymagająca, bo nie da się jej osiągnąć bez konfliktu interesów, bez bolesnych korekt fiskalnych, bez naruszenia okrzepłych rent i bez fundamentalnego przeprojektowania pracy oraz edukacji. Ale jest to jedyna miara, która realnie odpowiada na sytuację opisaną przez Gordona, zamiast ją marketingowo maskować.

Można już zatem sformułować syntezę całego wywodu. Cztery przeciwne wiatry nie są ani katastrofą, ani przeznaczeniem. Są precyzyjnym opisem świata, w którym skończyła się epoka darmowych obietnic. Nierówność oddziela wzrost od mediany dochodów. Edukacja nie nadąża za zmieniającą się strukturą gospodarki. Demografia wywraca relację między pracą a świadczeniami. Fiskus z neutralnego tła staje się główną areną konfliktu. PKB, jako miara tego, co kupujemy, nie potrafi uchwycić tego fundamentalnego przesunięcia, a czasem wręcz je zasłania. Prawdziwy postęp, jak pokazały sieci wodociągowe i zdrowie publiczne, polegał na systematycznym zdejmowaniu z jednostki ciężaru przetrwania. A to było możliwe tylko dzięki instytucjom, a nie samej technologii.

Jeżeli więc mamy „bronić" Gordona, to nie dlatego, że miał rację w każdym szczególe swojej prognozy, lecz dlatego, że przywrócił myśleniu ekonomicznemu proporcje i pamięć historyczną. Jeżeli zaś mamy go krytykować, to nie poprzez naiwne zaprzeczanie istnieniu wiatrów, lecz poprzez zadanie kluczowego pytania: czy potrafimy zbudować nowe „sieci" – instytucjonalne, zdrowotne, edukacyjne i technologiczne – które będą w stanie przejąć ciężar życia w XXI wieku tak, jak sieci wodociągowe i elektryczne przejęły go w wieku XX?

Roztropne ryzyko: fundament nowoczesnych instytucji

Aporia naszej epoki polega na tym, że nowoczesność – rozumiana jako splot wzrostu gospodarczego, postępu technologicznego i zabezpieczeń społecznych – dotarła do punktu, w którym jej własne triumfy stały się źródłem strukturalnych napięć. Dłuższe życie generuje potężne zobowiązania, które trzeba finansować w świecie wolniejszego wzrostu. Redukcja fizycznego znoju w pracy przesuwa ciężar na wysiłek kognitywny i emocjonalny, którego instytucje nie potrafią równie skutecznie amortyzować. Usieciowiony dom i inteligentna infrastruktura stworzyły

standard życia, którego nie da się już tak po prostu „podwoić", tak jak można go było niegdyś wykreować. PKB, miara zaprojektowana do śledzenia rynkowych przepływów, nie jest w stanie opisać tej jakościowej zmiany, a mimo to pozostaje dominującym językiem, którym polityka gospodarcza uzasadnia swoje istnienie.

W tej sytuacji cztery wiatry przeciwne nie są zbiorem osobnych problemów, lecz jedną, spójną strukturą napięcia. Nierówności oddzielają wzrost średniej od realnego doświadczenia większości, podkopując fundament społecznego porozumienia. Edukacja, zamiast być automatycznym motorem awansu, staje się wąskim gardłem w procesie adaptacji do technologicznych zmian. Demografia zaburza relację między pracą a świadczeniami, przekształcając budżet państwa w arenę konfliktu o uznanie, a nie neutralny mechanizm redystrybucji. Zadłużenie publiczne przestaje być księgowym detalem, a staje się materialnym dowodem na odkładaną w nieskończoność korektę kontraktu międzypokoleniowego. Wszystkie te procesy zbiegają się w jednym punkcie: w spowolnieniu wzrostu realnego dochodu medianowego, które nie jest już tylko faktem ekonomicznym, lecz faktem kulturowym i politycznym.

Dlatego zasadniczym błędem współczesnej debaty jest pytanie: „Czy Gordon ma rację co do przyszłego tempa wzrostu?" To pytanie drugorzędne. Pytanie pierwszorzędne brzmi: Czy potrafimy utrzymać legitymację naszych instytucji w świecie, w którym wzrost nie pełni już funkcji cywilizacyjnego amortyzatora? W epoce „wyjątkowego stulecia" szybki i szeroko dystrybuowany wzrost działał jak bezprzymusowy przymus zgody: pozwalał akceptować nierówności, odkładać reformy i ignorować koszty strukturalne. Gdy ten motor słabnie, to samo społeczeństwo staje przed koniecznością otwartego uzasadniania reguł podziału, zasad finansowania zdrowia, organizacji pracy i sensu długu publicznego. To jest moment, w którym ekonomia przechodzi w teorię państwa, a statystyka w politykę uznania.

W tym sensie Gordon nie jest cywilizacyjnym pesymistą, lecz instytucjonalnym realistą. Jego słynne „ćwiczenie z odejmowania" nie jest przepowiednią nadejścia ery zerowego wzrostu, lecz metodą demaskacji złudzenia, że sama technologia – nawet najbardziej olśniewająca – rozwiąże problemy dystrybucji, demografii i fiskusa. Równie istotne jest jednak to, że Gordon nie oferuje pocieszenia w postaci prostych recept. I tu właśnie otwiera się przestrzeń dla twórczej krytyki. Największym ryzykiem jego narracji nie jest to, że okaże się ona empirycznie zbyt pesymistyczna, lecz to, że zostanie odczytana jako argument za rezygnacją z instytucjonalnych ambicji.

Tymczasem logiczny wniosek z jego analizy jest dokładnie odwrotny: skoro nie możemy liczyć na powrót do warunków „wyjątkowego stulecia", musimy nauczyć się projektować instytucje dla świata wolniejszego wzrostu. Nie jest to wezwanie do stagnacji, lecz do fundamentalnej zmiany kryterium sukcesu. Sukcesem nie będzie już maksymalizacja tempa wzrostu PKB, lecz zdolność

> W erze "wiatrów przeciwnych", konformizm, który był luksusem w czasach szybkiego wzrostu, staje się strategią eskalacji przyszłych kosztów. Odkładając korekty na później, ryzykujemy, że wybór zawęzi się do katastrofy albo kalekiej improwizacji. Czy odważymy się na roztropne ryzyko, by instytucjonalne protezy rozumu zapewniły sprawiedliwość w obliczu spowolnionego wzrostu?

Inspiracje

[1] **"The rise and fall of American growth"** Robert J. Gordon

2016 | Princeton University Press

Robert J. Gordon jest amerykańskim ekonomistą i profesorem nauk społecznych im. Stanleya G. Harrisa na Uniwersytecie Northwestern. Jest ekspertem w dziedzinie inflacji, bezrobocia i długoterminowego wzrostu gospodarczego. Jego godne uwagi prace obejmują analizę wzrostu gospodarczego i produktywności w USA.

Robert J. Gordon *is an American economist and the Stanley G. Harris Professor of the Social Sciences at Northwestern University. He is an expert on inflation, unemployment, and long-term economic growth. His notable work includes analysis of U.S. economic growth and productivity.*

Northwestern University

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: 36d5beb7-f037-460b-be2a-02fa09f83ef5